Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 33 (38). Warszawa, czwartek dnia 19 sierpnia 1937 r. Rok II.

PO ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW

Zbyt rzadko a więc i zbyt mało podkreślano u nas, że jedną z wielkich zasług J. Piłsudskiego i jego akcji wychowawczej było to, iż umiał wytworzyć z tego zbiorowiska ludzi, którzy jego podlegali wpływom, szeregi karnych Polaków.

Nie byle jakie to zjawisko w kraju „zbawców ojczyzny", gdzie tak łatwo o posłuch dla wszelkiej frazeologii nie mającej nic wspólnego z obowiązkiem ciężkiego, nieustępliwego stosowania w życiu, w codziennym postępowaniu — nakazów ideowych.

Gdy na parę lat przed r. 1926 J. Piłsudski ustępował w „zacisze" Sulejówka, gdy jak okazało się pozornie ustępował miejsca dużym i małym Witosom, dużym i małym Korfantym — stwierdził, — i nie dla komplementu tylko — iż swoją „bajeczną" karierę zawdzięczał temu, że nosił szary mundur I Brygady.

Jedynie i wyłącznie Józef Piłsudski u progu niepodległości posiadał obóz znitowany żołnierzami, znakomicie scalony obręczami posłuszeństwa... Miał do swojej dyspozycji ludzi całkowicie rozporządzalnych, karnych, a więc zdolnych do akcji. Miał — i to prawda — za sobą epopeę legionową i ten moralny kapitał jakim był Magdeburg... Szumiała nad nim legenda...

I Brygadą, Legionami, P. O. W. tworzącym się u progu niepodległości obozem, J. Piłsudski zbierał owoce swojej ciężkiej pracy wychowawczej, opartej zasadniczo o *świadomą karność*. Słuchali go ochotnicy, słuchali go żołnierze-obywatele, słuchali go wszyscy jako Wodza dla którego posłuch umieli narzucić innym.

I doskonale wiedzieli *dlaczego* słuchają swego Komendanta...

Młodzi „przywódcy" z „Młodej Polski" w zdumiewająco naiwnej taktyce komentują historyczny i zwycięski marsz legionowo-niepodległościowy... „wyczuciem, intuicją"..., by móc wydźwignąć jako alfę i omegę polskiej myśli politycznej szkołę narodowo-demokratyczną.

Najwidoczniej Adam Koc został podporucznikiem przedwojennego „Strzelca" dla zalet... „intuicji".

I najwidoczniej tworzył P. O. W. za czasów rosyjskich, kierując się „wyczuciem". Z rosyjskiej Warszawy odbył konspiracyjną i jakże romantyczną podróż poprzez Finlandię i Szwecję do Komendanta Piłsudskiego nie po to, by złożyć raport o położeniu i działalności P. O. W. na obszarze b. Królestwa i otrzymać rozkazy, lecz dla... „wyczucia"... Nie ciągniemy tego dalej.

Być może, że młodzieńcze bzdury mają wiele uroku, ale my jesteśmy już za starzy, aby bzdury w publicystyce politycznej mającej służyć hasłu zjednoczenia, uważać za co innego niż bzdury.

Bzdurą, zwykłą bzdurą jest przeciwstawianie myśli politycznej Romana Dmowskiego — myśli żołnierskiej Józefa Piłsudskiego i bzdurą jest dęte i nadęte zarazem usiłowanie przedstawienie Józefa Piłsudskiego wyłącznie jako realizatora myśli i pomysłów Romana Dmowskiego (który u progu niepodległości otrzymał list Józefa Piłsudskiego i... ukrył go)...

Oparta na świadomej karności ideologia obozu żołnierskiego Józefa Piłsudskiego wyrosła nie z „intuicji", nie z „wyczuć", lecz w twardej szkole Komendanta, w akcji czyli w działaniu, powstała zaś z konsolidacji.

I nikt lepiej nie wyjaśnił tego niż Marszałek Śmigły-Rydz na IX Zjeździe Legionistów w Radomiu, 10 sierpnia 1930 roku, gdy mówił swoim towarzyszom broni:

„Kiedyśmy wymaszerowali w 1914 roku, tośmy stanowili dziwne zbiorowisko ludzi. Każdy z nas miał inne przekonania, inne osobiste nawyki, inne umiłowania, pochodziliśmy z najrozmaitszych klas, warstw, a jednak mając w sercu dużo rzeczy, któreśmy kochali — bo cóż warte życie ludzkie bez miłości — mając każdy dla siebie jakąś rzecz umiłowaną. W szkole Komendanta, w polu, zapominaliśmy o tych wszystkich naszych drogich i ważnych rzeczach, odsunęliśmy je na bok, a została nam jedna, ważna, wielka rzecz — tą rzeczą było: być dobrym żołnierzem i dobrze bić się za Polskę. I umieliśmy to dobrze zrobić.

Co to znaczy? To znaczy, że szkoła Komendanta potrafiła z nas zrobić ludzi, którzy zapominają o swoich osobistych, nawet najdroższych rzeczach, i potrafią je poświęcić wtedy, gdy chodzi o cele ogólne. To znaczy, że i wy musieliście mieć odpowiednie psychiczne dane, żeby umieć właśnie w ten sposób postawić swój stosunek do rzeczy ogólnych.

I dlatego sądzę, że jesteście przygotowani do tego, ażeby w dzisiejszych czasach i rozgardiaszu być tymi, którzy potrafią tam, gdzie ten rozgardiasz jest — scalać, syntetyzować pewne rzeczy, którzy potrafią widzieć gdzie jest dobro państwa i potrafią dla ogólnego celu poświęcić najrozmaitsze sprawy. A że nie jest pod tym względem dobrze, to wszyscy widzicie. Tak łatwo u nas następuje zamiana między dobrem swoim a dobrem państwa, między racją stanu państwa i racją własną".

I napewno w dniu 8 sierpnia na zjeździe krakowskim najpoważniejsi legioniści pamiętali, że:

„Tak łatwo u nas następuje zmiana między dobrem swoim i dobrem państwa, między racją stanu państwa i racją własną".

W poprzednim numerze „ZACZYNU"

Sens istnienia Związku Legionistów może tkwić tylko w tym odróżnianiu nadrzędności interesu państwowego nad każdym innym... w karności *świadomej*, oddawna według naszych informacji, nieco tam zaniedbanej.

*

Musieliśmy przeczekać tydzień po Zjeździe, by ucichły z powodu Zjazdu Legionistów wypisywane w prasie bzdury. Nic dziwnego. Poławiacze dziesięciogroszówek mieli żniwo. Hulało więc bractwo z prasy brukowej (zwie się popołudniową) na całego. Komentowano wszystko. I nie tylko wszystko, ale i tych wszystkich, których dla byle pozoru, dla byle plotki można było z nazwiska wymienić i zaczepić. Ciągnięto Związek Legionistów na prawo i na lewo. Tak! Stał się bowiem niesłychany wypadek w Polsce... Pan Grzędziński napisał lewicowy artykuł... Dzienniki lewicowe podkreślały swoje tendencje lewicowo... — legionowe, tak jak „Czas" prawicowo... — legionowe, oddając Naczelnemu Wodzowi... oficerów zawodowych z pośród legionistów, a resztę legionistów w cywilu, jakoby liczebne zero (o! Boże!) — likwidując. Istotną zaś rację ma nie p. Grzędziński, lecz towarzysz Żuławski z „Robotnika". Ma rację, bo jest konsekwentny. Zaprasza p. Grzędzińskiego do P. P. S. Innych byłych legionistów pisujących czarnym atramentem—do Stronnictwa Ludowego. Ma rację... P. Grzędziński jako „lewicowy" legionista w Związku Legionistów nic nie wywojuje, a jako członek P. P. S. może jej oddać duże usługi, gdyż jest to człowiek ambitny i energiczny... I nie jeden p. Grzędziński może się znaleźć w P. P. S.

I jakby to dobrze było — i o tym zapewne gwarzyli sobie legioniści — aby „Czas" upominał się gwałtownie o „swoich" legionistów...

Zabierzcie sobie, panowie, do swojej prawicy tych legionistów, którzy sobie po 1926 r. ozdobili dłonie sygnetami pod wpływem wielu, wielu tych, których reprezentujecie...

Zabierzcie sobie ze Związku Legionistów tych legionistów, którzy chorują na panków, tę arcyszlachecką chorobę, którą ich zaraziliście, którzy przyzwyczaili się do drogiego bridge'a, do drogich win, do samochodów i polowań, którzy na najrozmaitszych stanowiskach bardzo byli i są słabi wobec tego, co im się szepce, tłumaczy, o co się ich prosi, szukając rozmaitych względów, uwzględnień, protekcyj i protekcyjek.

Zabierzcie sobie te słabe kruche charakterki ludzi, niegodnych rozwiązywać sznurowadła u trzewika Sławka, bo ten człowiek, dzięki trybowi swego życia był zawsze surowym Rzymianinem wśród owych legionowych niewolników własnych nałogów i własnych namiętności, wśród hołoty ludzkiej nie kontrolującej samej siebie. Róbcie sobie z nimi prawicę narodową i pokój z wami.

*

Prawi, rozumni i o wyrobionej karności świadomej legioniści rozumieją zapewne, kto i dlaczego ciągnie Związek Legionistów na lewo — a kto i dlaczego na prawo.

Nurtem lewym czy strumieniem prawym legioniści popłyną tylko wstecz. Nie dopłyną do swych ongiś walczących brygad, ani do roku 20... To jasne! Wpłyną w bagno przedmajowe, w którym nikt nie odróżniał racji państwa od racji własnej.

My tutaj nie reprezentujemy ideologii legionowej, lecz państwową. Nie o Rzeczpospolitą legionową nam chodzi. Powtarzamy, że dla nas państwowców państwo to także i głównie nafta, żelazo, stal, zboże, to wielki kompleks zagadnień mobilizacyjnych: przemysłowych i aprowizacyjnych, których Zjazd Legionistów ani inny zjazd nie rozwiąże.

Rozwiązać je może silny, jednolity rząd realizujący z żelazną konsekwencją plan państwowy obliczony nie na łatane budżety. I nie lewicy i nie prawicy legionowej nam brak, lecz takiego właśnie rządu.

(201).

ANI NA PRAWO — ANI NA LEWO

Przebieg i nastroje Zjazdu Legionistów w Krakowie stały się siłą rzeczy punktem centralnym zainteresowań politycznych Polski. Zainteresowania te, które wywołały tyle odgłosów w prasie, przyniosły jedno charakterystyczne zjawisko. Zarówno „Czas", — który zdaje się bezpowrotnie po śmierci swego wieloletniego redaktora stracił sobie właściwy umiar i szerszy zasięg sądów — jak „Robotnik", przyjęły drogą sobie właściwych interpretacji objawy Zjazdu Legionistów z najwyższym zadowoleniem. Ta zgodność zadowolenia, przy której „Czas" głosi z tryumfem nadejście chwili usunięcia z obozu niepodległościowego, czy legionowego „elementów radykalnych" — jak się wyraża —, podczas gdy „Robotnik" z równą radością stwierdza zbliżanie się momentu skupiania wszystkich elementów „lewicy" — jak się wyraża, — stanowi najsmutniejszy i najbardziej niepokojący objaw obecnej sytuacji politycznej w Polsce.

Zdajemy sobie dobrze sprawę, że zarówno te quasi-prawicowe, jak quasi-lewicowe, wiwaty i radości są m o c n o p r z e d w c z e s n e, niemniej jednak mimo swych różnych charakterów i motywów są one zgodnym przejawem tych fatalnych torów, w które z dwóch stron równocześnie próbuje się dzisiaj wtłoczyć życie polityczne nadchodzącej Polski. Nie ukrywajmy bowiem prawdy przed sobą! Rozlega się w Polsce hasło „zbiórka na prawo" oraz „zbiórka na lewo", przy czym obydwa hasła obliczone są na pozyskanie tych elementów w Polsce, które bez względu na to, że nie dysponują reklamą, czy nieraz tylko wrzaskiem poczytnej prasy, stanowią największą siłę, najpozytywniejszą wartość w Odrodzonej Polski. Obojętnie, jak w cyfrach będziemy obliczać wartość tego rdzenia Obozu Legionowego, czy Niepodległościowego, bo jego siła nie polegała nigdy na liczbie i na szerokim popycie w opinii, ale na najwyższej w Polsce zdolności działania. Jeśli tak czy inaczej od lat kilkunastu wszystko w Polsce obraca się koło tych ludzi, których zgodnie ci „masowcy" z prawa i lewa nazywają „grupką", to dlatego, że zwarli oni w sobie najsilniejsze i najenergiczniejsze elementy społeczeństwa państwowej Polski. Dzisiaj z jednej i drugiej strony próbuje się ten zespół ludzi rozbić na jakichś „prawicowców" i „lewicowców", z widocznym i niezaprzeczalnym przekreśleniem faktu, że ich ideowy wódz Józef Piłsudski, wódz łączący ich wszystkich, w swym zasadniczym wypowiedzeniu się po przewrocie majowym kategorycznie stwierdził, nieuznawanie dla Polski podziału na lewicę i prawicę („Pisma" tom IX, str. 23), mówiąc: „o s o b i ś c i e n i g d y n i e c h c i a ł e m b y ć c z ł o n k i e m a n i p o l s k i e j p r a w i c y a n i p o l s k i e j l e w i c y". Marszałek bowiem Józef Piłsudski od momentu powstania Polski na wszystkie hasła „zbiórki na lewo" i „zbiórki na prawo" odpowiadał zawsze w praktyce zajmowaniem pozycji „równowagi" — jak sam to określał, czyli stanowił polityczne centrum Polski, z pozostawieniem poza orbitą swego działania wszystkich, którzy drogi Polski chcieli wyznaczać na prawo, lub na lewo.

Przede wszystkim oczyśćmy pole naszego myślenia politycznego z tych wszystkich prób interpretowania Józefa Piłsudskiego stosownie do potrzeb chwil i grup czy grupek. Nie mogą łączyć się z praktyką polityczną zasady taktyczne Józefa Piłsudskiego z czasów przed powstaniem Państwa Polskiego, względnie przed zarysowaniem się polskiej państwowości, natomiast muszą obowiązywać jego zwolenników wskazania z czasów istnienia tej państwowości. Tylko małe, ciasne i niezdolne do myślenia partyjnictwo może sobie wy obrażać i głosić, że hasła z czasów bezpaństwowych mogą być niezmiennie miarodajne dla polityki w sytuacji wręcz odwrotnej, czyli we własnym państwie. Natomiast istnieje bezspornie niezłomna konsekwencja ideologiczna we wszystkich poczynaniach Józefa Piłsudskiego, jeszcze nawet nie Pierwszego Marszałka Polski, od momentu narodzin Państwa Polskiego. Wydostawszy się z Magdeburga, Marszałek Piłsudski zastaje swój obóz i pozostawiony przez siebie spadek, jako zaangażowany możliwie najsilniej po stronie lewicy społecznej, a to przez rząd lubelski i hasło rządów robotniczo-chłopskich. Tuż więc po wyjściu z wagonu, który go przywiózł z Magdeburga, Marszałek zarządza zawrócenie z tej drogi. Szereg cierpkich słów pod adresem sytuacji, którą zastał, układy z Radą Regencyjną, objęcie władzy nad Wehrmachtem, przejęcie umową aparatu rządowego po Radzie Regencyjnej oraz zgłoszona tendencja do konsolidacji narodowej wszystkich elementów ówczesnej Polski, oto objawy oderwania się Józefa Piłsudskiego od sytuacji politycznej, którą zastał. Konsekwentnie postępuje dalej w ten sposób, zajmując pozycję „równowagi". Rządem Jędrzeja Moraczewskiego ratuje Polskę w najkrytyczniejszych momentach od zwarcia się Polaków między sobą w walce społecznej w czasie momentów krytycznych, tak samo jak z drugiej strony przez umowę z Paderewskim w sprawie polityki zagranicznej unicestwia przynajmniej w zasadzie niebezpieczeństwo konkurowania dwóch rządów polskich między sobą na terenie spraw ogólno-polskich.

Zestawmy dalsze fakty z całą ścisłością i dokładnością, gdyż te f a k t y p o w i e d z ą n a m w i ę c e j, aniżeli wszystkie dzisiaj tak modne frazesy i nieoparte o wypadki ogólniki. Józef Piłsudski niewątpliwie opuścił socjalizm wyszedłszy na stacji „niepodległość", ale nie tylko

nigdy nie zajechał na dworzec zwany „endecją", „chjeno-piastem" i t. d., ale w ogóle nigdy swej drogi politycznej w tamte strony nie skierował. Wielokroć ze względu na wyniki wyborów próbowano w Polsce przedmajowej przechylić szalę koncentracji władzy i wpływów na grupy głoszące stanowisko prawicowe, jak np. w sprawie rządu Korfantego, ale umiał Marszałek Piłsudski sam jeden z bezwzględnością i siłą unicestwiać parcie w tym kierunku olbrzymiej nawet większości opinii polskiej. Tę samą rolę spełnił wreszcie, gdy zrodziła się kwestia wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej, co spowodowało ówczesne elementy „prawicowe" do wytworzenia nastrojów, które zrodziły ohydę zbrodni Niewiadomskiego.

Marszałek odszedł w zacisze Sulejówka, obserwował to całe szamotanie się partyjne, które próbowało raz za razem Polskę wpędzić w rozżartą walkę wewnętrzną prawicy i lewicy, ale trwał w spokoju i neutralności. Gdy jednak stwierdził, że „równowaga" została obalona, że poczyna to wciągać Polskę w przepaść, grzebać jej siłę wojskową i stanowisko niezależne wobec zagranicy, wkroczył w szranki działań z przewrotem majowym właśnie z chwilą, gdy Witosowi udało się przeprowadzić „zbiórkę na prawo". Po przewrocie majowym zrobił Marszałek niewątpliwie zawód tym wszystkim, którzy wobec przebiegu przewrotu majowego spodziewali się przeprowadzenia nareszcie bezwzględnej i stałej „zbiórki na lewo". Pozostawiwszy bowiem Sejm z dawną większością prawicową, poszedł Marszałek na pozytywne sukcesy wewnętrznych rządów, oświadczywszy oficjalnie, że nie chce mieć do czynienia z żadną lewicą, ani prawicą. Rozpoczął się długi okres polityki wewnętrznej, którego rezultaty mamy wszyscy świeżo przed oczyma. Marszałek oddał władzę w Polsce elementom „równowagi", wykonywanie rządów miało charakter centrowy, do którego ustosunkowała się bojowo zarówno lewica, jak prawica sejmowa i społeczna, w znaczeniu partji wysuwających tego rodzaju hasła. Rozpoczęło się natomiast tworzenie szeroko zakrojonego obozu pomajowego, czy marszałkowskiego, w którym znalazło się miejsce zarówno dla Mejsztowicza i „żubrów" wileńskich, jak Moraczewskiego i Jaworowskiego. Raz za razem przymykały do obozu Marszałka Piłsudskiego coraz to inne grupy, które dla odmiany uważały się bądź to za prawicowe, bądź to za lewicowe, wytwarzając ten ośrodek, który miał przeprowadzić przebudowę Polski w duchu nowej Konstytucji, a pracował i rządził z postawieniem poza nawiasem wszystkich tych, którzy poprzed Polskę i poprzed pracę dla Polski wysuwali hasła prawicowe lub lewicowe. Nie wchodzimy w szczegóły wykonania, nie mamy obowiązku bronienia składu i poczynań dawnego B. B. W. R., niewątpliwie jednak, przy takich czy innych błędach, B. B. W. R. spełniał rolę tej państwowej „równowagi", tego politycznego centrum, które spotkało się za tę rolę z oficjalną aprobatą Marszałka, a które utrzymywało swą pozycję przez walkę z zapędami zarówno prawymi jak lewymi. Ta wyżej nakreślona taktyka miała jeszcze swój dalszy, mniej akcentowany, ale pierwszorzędnej wagi moment dla życia całej Polski. W dawnym układzie politycznym istniała w Polsce nietylko „lewica" i „prawica", ale jeszcze ogromny „blok mniejszości narodowych", który ciążył stale nad możliwością legalnego rozstrzygania sporów polskich w myśl zasady większości, gdyż grupa polska, która rościła sobie pretensje do większości, musiała przelicytować zasięgiem i liczebnością nietylko przeciwników, ale wszystkie połączone „mniejszości". Polityka wewnętrzna Marszałka Piłsudskiego blok ten rozbiła i wytworzyła sytuację, że każda z mniejszości tylko oddzielnie mogła realizować jakieś postulaty i ustalać jakąś linię postępowania, a to przez swój stosunek do tego centrum politycznego, posiadającego realną władzę. Każda mniejszość mogła o tyle liczyć na jakąś realizację swych postulatów, o ile zdołała je oddzielnie uzgodnić z tym centrum, z tym ośrodkiem „równowagi" państwowej, względnie na wypadek różnic z tym centrum znajdywała się w beznadziejnej opozycji, bez względu na to, jak sobie umiała ułożyć stosunek i wpływy, lub walkę wobec elementów pozostających poza nawiasem grupy decydującej,

Taka była struktura wewnętrznego życia politycznego Polski, którą Marszałek Piłsudski wytworzył i pozostawił po sobie. Spetryfikować miała tę zasadę nowa ordynacja wyborcza, na której już nie figuruje podpis Marszałka Piłsudskiego i za którą on nie ponosi odpowiedzialności. Nie mamy obowiązku bronienia tej ordynacji, czy reprezentowania straconej pozycji, że nowa ordynacja wyborcza zdała swój egzamin w obecnej Polsce. To są już szczegóły wykonania. Chociaż jednak Marszałek nie dożył czasów ustalenia tej ordynacji, to jednak w usiłowaniach jej twórców przejawiała się niewątpliwie jego myśl, by kontrolę rządów w Polsce, ustalanych przez Prezydenta Państwa, oderwać od tych wszystkich elementów, wykrzykujących o zbiórce na lewo i prawo, a powierzyć ją w ręce ludzi o zainteresowaniach gospodarczych i o zrozumieniu dla normalnego, a pozytywnego rozwoju. W praktycznym języku politycznym miała ta tendencja wysuwać do izb prawodawczych przede wszystkim takich ludzi, którzy zajmą „stanowisko centrowe" — pozycję „równowagi" pod każdym względem, i rozstrzygać będą o wszystkim nie pod kątem przynależności partyjnej, ale pod kątem całokształtu interesów Państwa Polskiego.

To jest linia, którą realizował Józef Piłsudski, to jest stan rzeczy, który pozostawił po sobie ku uznaniu niemal całej Polski i niemal całej Europy. Śmiesznym więc jest, jeśli ktoś próbuje dzisiaj wykazywać, że Marszałek Piłsudski był w swej polityce i ideologii właściwie endekiem, tak samo jak śmiesznym jest twierdzenie, że pozostał w polityce wewnętrznej Odrodzonej Polski socjalistą, natomiast oburzającym jest, jeśli ktoś twierdzi, że nie miał jasnej linii ideologicznej w stosunku do wszystkich spraw, nietylko zewnętrznych, ale także wewnętrznych. Tego rodzaju twierdzenia są jakby jakimś tragicznie paradoksalnym wynikiem faktu, że wszyscy inni, poza nim, mieli w Polsce ideologię, której nie zrealizowali, a on jeden miał ideologię wewnętrzną i zewnętrzną, którą potrafił zrealizować i przekuć w rzeczywistość polityczną.

Według nieodpornej wymowy słów i faktów z działalności Józefa Piłsudskiego od 1918 do 1935 r., — nie była to ani „zbiórka na lewo", ani „zbiórka na prawo", ale zbiórka w centrum, do którego wolno było się przyłączyć każdemu z prawa i każdemu z lewa, który swoje cząstkowe nietylko upodobania i skłonności, ale nawet realne społeczne przekonania, był gotów podporządkować pozytywnej, codzienej pracy dla narastania wewnętrznej i zewnętrznej siły Polski.

Tak było przedtem i na tym tle musimy się zastanowić, ku czemu idziemy obecnie, względnie ku czemu starają się popchnąć dzisiaj Polskę te siły z „prawa" i „lewa", które tak długo trzymał żelazną ręką w szachu i impasie bezsilności — Wielki Budowniczy Polski. (—113—)

POLITYKA ZAGRANICZNA

Nie jest zadaniem niniejszego artykułu wypowiadanie ocen co do prawidłowości linii naszej polityki zagranicznej. Chodzi nam raczej o podmurowanie ogólnych fundamentów teoretycznych traktowania tego zjawiska o kardynalnym znaczeniu państwowym.

O kardynalnym znaczeniu państwowym — powtarzamy, bo dwa są zasadnicze elementy racji stanu, nierozerwalnie ze sobą związane — polityka zagraniczna i polityka obronna, czyli militarna. Zagadnienia te są wybitnie państwowymi i nawet w najbardziej demokratycznych krajach wyłączane są z pod kontroli i wpływów grup społecznych, znajdując się w ręku — że się tak wyrazimy — koronnych organów państwowych.

Czyż nie z koronności doktryny zagranicznej wynika właśnie fakt, że w rządach pomajowych na kilkanaście gabinetów mieliśmy tylko 2 ministrów spraw zagranicznych? Ten fakt wiele mówi! Czyż nie to poczucie konieczności ochrony spraw polityki zagranicznej od wpływów grupowych pozapaństwowych przyczyniło się do tego, że sprawy zagraniczne obok spraw armii podporządkował sobie bezpośrednio Józef Piłsudski po maju 1926 r., nauczony smutnym doświadczeniem, jak fatalnie odbija się hasanie „demokracji" na tych dziedzinach bytu państwowego?

W polityce zagranicznej obowiązuje znacznie większa stałość zasad, niż w innych dziedzinach życia zbiorowego, co wynika z względnej niezmienności warunków geopolitycznych. Zasady te o pierwiastkach geopolitycznych o wiele ważniejszą grają rolę, niż czasowe i przypadkowe zresztą bloki państw o podobnych ustrojach politycznych. Ze zbiegu okoliczności niesłusznie się robi teorję ogólną osi np. Paryż—Moskwa lub Berlin — Rzym. I gdyby nawet powstała we Francji na miejsce rządów frontu ludowego monarchia z Duc de Guise na czele, orientacja polityczna prorosyjska nie uległaby — przy innych równych założeniach — zmianie. Warunki więc geopolityczne wykreślają niejako pewne wiekowe linie dla polityki zagranicznej, linie, łamane rewolucyjnie jedynie przez zmianę mapy politycznej po wojnach lub korygowane wskutek powstania bloków politycznych, sojuszów i konstelacji politycznych państw. I te zresztą czasowe powiązania polityczne w niczym nie uchybiają stałości linii polityki zagranicznej, są wyrazem taktycznych kompromisów w myśl zasady, wypowiedzianej przez pewnego monarchę — „Paryż wart mszy", gdy w celach politycznych „nawrócił się" na katolicyzm.

Z tych rozważań wstępnych widzimy, że, gdzie jak gdzie, lecz w sprawach polityki zagranicznej panować musi doktryna państwowa.

Państwowa doktryna w polityce zagranicznej prowadzi państwa do świetności politycznej. Każdy przebłysk tej doktryny wywołuje szacunek do danego państwa państw innych, operujących swoją doktryną, i nakazuje liczyć się z tym państwem czy to występującym w roli kontrahenta politycznego czy wroga.

Piłsudski został doceniony jako mąż stanu przez mistrzynię doktryny politycznej państwowej — Anglię z chwilą zajęcia Kijowa, gdy król angielski zademonstrował zwrócenie uwagi na odrodzenie państwa polskiego wysłaniem telegramu gratulacyjnego. Ujrzał przebłysk państwowej doktryny, dojrzał zalążki mocarstwowego odrodzenia Polski.

Przy rozważaniu hierarchii podporządkowania lub zależności polityki zagranicznej od polityki wewnętrznej lub vice versa wskażmy dla przykładu na jedno zjawisko, które niechże zastąpi teoretyczne dociekania. Polska Jagiellonów doktrynie polityczno-zagranicznej podporządkowała swą politykę — jak teraz się mówi — „rasową" czy „narodowościowo-mniejszościową" — tworząc obok federacji politycznej federację społeczną polsko-litewską, jakże nie rozumianą przez współczesnych „narodowych mocarstwowców". Zupełnie inaczej pobiegła linia polityki niemieckiej z dobrze znanymi „ausrotten", „Drang", z niemczeniem. Tam polityka zagraniczna nie wpływała na wewnętrzną.

Polityka zagraniczna nie opiera się jednak na samej stałej doktrynie geopolitycznej. Stałe zakłócenia czystej linii, wynikające z determinujących i obowiązujących dane państwo zmian w konstelacjach politycznych świata, zmuszają do stałych poprawek i kompromisów, bądź utrzymujących pokój, bądź zapewniających zwycięską wojnę. Ideałem byłoby, gdyby suwerenne władze państwowe miały na tym polu wolną rękę. Ale nie zawsze państwa mają dobry ustrój wewnętrzny do prowadzenia polityki zagranicznej.

Polityka zagraniczna podlega innym jeszcze bardziej zmiennym kompromisom, i musi mieć do czynienia z koniecznością oscylowania w kilku wymiarach czynników polityki wewnętrznej. Czynnikami tymi są przede wszystkim sprawy gospodarcze i wychowawcze. Gospodarcze — na odcinku koniecznych stosunków zagranicznych handlowo-finansowych lub migracyjnych oraz wychowawcze — czyli kompleks zagadnień wychowania politycznego społeczeństwa w karności dla myśli politycznej, podporządkowaniu się zasadzie, że polityka zagraniczna nie może wynikać ze społecznych odczuwań, nastrojów i tendencyj, lecz musi być wynikiem doktryny geopolitycznej. Krótko mówiąc przeprowadza się zasadę, że politykę zagraniczną prowadzą nie narody i społeczeństwa, lecz tylko i wyłącznie rządy czyli państwa, i wyciąga się z tego konsekwencje polityczno - wychowawcze.

Niewątpliwie — jeśli rzucimy okiem na stosunki nasze — liberalizm gospodarczy i brak państwowej myśli gospodarczej obniżają na polu polityki zagranicznej naszą suwerenność ponad miarę samej konieczności aprowizacji surowcowej. Jeszcze bardziej zakłóca to inny czynnik, który nazwaliśmy kompleksem emigracyjno-odsadniczo-kolonialnym (patrz „Zagadnienia populacyjne" Nr. 25 „Zaczynu"). A cóż dopiero mówić o osłabiającej roli czynnika wychowawczego. Gdy przyjrzymy się liniom wychowawczym naszych krajowych „ideologii" politycznych, partii, grup, warstw społecznych, mniejszości, musimy sobie zdać do końca sprawę z niebezpieczeństwa utrzymywania nadal tego stanu rzeczy. Układają się one w makabryczny galimatias odbijający się jakże bardzo niekorzystnie na odcinku polityki zagranicznej.

Istnieją więc u nas:

Linia germanofilska na tle antysemityzmu endeckiego, zakłócona równocześnie przez sprzeczną linię antygermańską wskutek walki narodowo - socjalistycznej z kościołem katolickim. Linia ta przecina się z frankofilską linią tej samej endecji na tle demokracji, katolicyzmu i... historii, czyli linią, znów zakłóconą antypatią do frontu ludowego.

Linia profrancuska socjalistów na tle frontu ludowego we Francji, zakłócona walką z katolicyzmem francuskim, i wzmocniona na pierwiastkami antygermańskich uczuć na tle narodowego-socjalizmu, które znów są osłabione faktem narodowo-socjalistycznej walki z kościołem.

Linia klerykalno-katolicka profrancuska na tle katolicyzmu i demokracji, podsycana przez walkę z pogaństwem niemieckim, totalizmem wychowawczym i t. d.

Gdy rozważymy te linie, nie należy zapominać, że to nie wszystko. Jeżeli dołączymy do tego zrozumiały antyhitleryzm żydowski, germanofilstwo ukraińskie, humanitarny filoabisynizm oraz fakt, że każde działanie kulturalne czy polityczne w Polsce ma swoje przedłużenie w poglądach na politykę zagraniczną, — nie bez słuszności możemy założyć, że swoją politykę zagraniczną mają i poradnie świadomego macierzyństwa, i esperantyści, i wolnomyślicielе, i masoneria, i Rotary Cluby, a cóż dopiero poszczególne warstwy społeczne, klasy gospodarcze, branże przemysłowe, stowarzyszenia kulturalne i sportowe — zaczynając od klubu włóczęgów a kończąc na Penclubie.

Uogólniając, stwierdzamy, że orientacje polityczno-zagraniczne naszego społeczeństwa równają raczej na międzynarodówki, niż na interes polski. A dlaczego?

Trzeba stwierdzić bowiem, że zainteresowanie polityką zagraniczną, i w ogóle zagranicą jest u nas olbrzymie. Dla przykładu podajemy, że np. Nr. 22 „Robotnika" z 1937 r. na 6.570 cm. kw. powierzchni bez ogłoszeń aż 4.082 cm. kw. poświęcił na wiadomości zagraniczne. I tak stale! Dla „Robotnika", i nie tylko dla niego, świat obecny poznawany jest w świetle jednej uniwersalnej teorii: walki faszyzmu z demokracją (notabene o ileż bardziej kapitalistyczną, niż kraje faszystowskie). To tak samo jak w religii staroperskiej całe życie poznawalne jest, jako refleks walki Ormuzda (ducha dobra) z Arimanem (duchem zła). To jest jak freudyzm — tłumaczenie jedną teorią seksualną całokształtu życia i przeżyć ludzkich.

Znów ten sam „freudyzm polityczny", że wrócimy do zasadniczego tematu, przeprowadza linię podziału społeczeństwa i każdego odczucia przezeń przejawów naszej polityki zagranicznej na dwie orientacje polityczne — germanofilstwo i frankofilstwo. Ta linia podziału przekracza często granice rasowe. „Rewelacje" Sikorskiego podchwytuje skwapliwie i przychylnie prasa żydowska.

W opinii społeczeństwa nie może pomieścić się myśl o potrzebie i istnieniu polityki polskiej.

Nie ulega wątpliwości, że w polityce zagranicznej, a zwłaszcza w doktrynie, na której ona się opiera, musi istnieć tajność. Jest to domena polityczna tajemnicy państwowej, równie ścisłej jak tajemnica wojenna. To też nie sposób tłumaczyć wielu elementów polityki całemu społeczeństwu. I podczas gdy w dobrze rządzonych i wychowanych społeczeństwach od dawna tę zasadę zrozumiano, u nas stale wymaga się, by do-

---

PIĘKNA SZKOŁA

Jaskrawym przykładem zwyrodnienia myśli politycznej jest następująca notatka, zamieszczona w sosnowieckiej „Polskiej Karcie" z dnia 15 b. m.:

„Dyrektorowa Lamprechtowa. W poprzednim numerze w rubryce „Grabarzy" zamieściliśmy nazwisko dyr. Lamprechta.

Dla okrasy i uzupełnienia zamieszczamy nazwisko jego żony. Trudno trzeba. Gdzie mąż tam i żona być musi. Nie możemy pozwolić sobie na jednostronność, z czego napewno sama p. Lamprechtowa byłaby niezadowolona. Mogłaby posądzić nas o specjalną gloryfikację małżonka z pominięciem jej, jako drugiej połowy ciała.

Dlatego aby była zgoda w dyrektorskim małżeństwie podajemy fakt który miał miejsce w dniu 3 VIII. 37 r. na ul. Warszawskiej.

Do znanej owocarni żyda Sztajnica, cieszącego się względami naszej „polskiej" ekstra klasy, wierzchniej śmietanki sosnowieckiej, zajechało auto osobowe Nr. 425.497, z którego wysiadła jakaś pani i weszła do żyda. Za chwilę wyszła z powrotem obładowana pakunkami zakupionych owoców i wówczas rozpoznano w niej p. dyr. Lamprechtową.

Koło pięknego auta zaczęły gromadzić się tłumy przechodniów Polaków, oburzonych nie polskim i nie niemieckim a żydowskim postępowaniem p. dyrektorowej. Padły słowa pogardy i drwin a na aucie przypięto kartkę „Ta świnia kupuje u żyda"... Wystraszona dyrektorowa wahała się wejść do auta w obawie że do środka któryś z Polaków mógł podłożyć bombę. Ciekawi jesteśmy czy fakt popierania żyda przez obywatela niemieckiego władze w Niemczech tolerowałyby.

Napewno nie! O czym musi wiedzieć p. Lamprecht jak i jego małżonka, którzy dosyć często odwiedzają swą ojczyznę.

Dla przekonania redakcja „Polskiej Karty" wyśle kilka egzemplarzy do rodzinnego miasta dyr. Lamprechtów.

Niech Niemcy czytają o swoich rodakach w Polsce".

W rubryce „Grabarze" w tej przedziwnej „Polskiej Karcie" zniesławia się obywateli, pomiatając ich nazwiskami. Wymienia się imię i nazwisko pewnej panny, zawód i miejsce pracy jej ojca, zawód i nazwiska amantów. Uprawia się jakąś ohydę żywcem importowaną z najciemniejszej prowincji narodowo-socjalistycznych Niemiec.

W przytoczonej notatce mamy dowód śledzenia i dobrowolnej, gorliwej współpracy ideowej z niemiecką „policją obyczajową".

Bojkot gospodarczy — bojkotem, ale zniesławianie ludzi i denuncjowanie obcokrajowców w prasie — to szczyt zwyrodnienia politycznego. Najgroźniejszą jest międzynarodówka „D. G.", Dzikich Głupców.

ktrynę polityki zagranicznej wykładano w Sejmie (na plenum), w prasie, i niemal w kinie. I podczas gdy w państwach dobrze rządzonych polityka wychowawcza wspiera politykę zagraniczną, u nas zakłócają ją wszelakie wróżby (patrz „Wróżbici" Nr. 31 „Zaczynu"), kledonizm, czyli wróżenie ze słów zasłyszanych, krzyków i głosów, i rhaspodomancja — wróżenie z przypadkowo przeczytanych zdań.

Wytwarza się z tego wszystkiego taka atmosfera, że zanim świat zdecyduje się na wojny religijne, (co staje się z każdym dniem mniej prawdopodobnym, chociażby z uwagi na mediację angielską i dalszy rozwój analogii do linii Rzym — Londyn), my w Polsce już mamy tę wojnę religijną wewnętrzną na tle poglądów na politykę zagraniczną, ku wielkiej przyjemności tych państw, którym na rozgardiaszu wewnętrznym w Polsce zależy.

I tu trzeba zwrócić uwagę na objaw niezmiernie doniosły. Nerwowość społeczeństwa, odbijającą się ujemnie na polityce zagranicznej, wynika z tego, że w polityce wewnętrznej jest olbrzymia luka. Nic się nie dzieje. Chwile takich pass, marazmu i przesileń są najwygodniejszymi okresami dla rozpasania się głupawych i analfabetycznych dociekań obywateli na temat polityki zagranicznej. W chwilach passy wewnętrznej egzotyzm polityki zagranicznej wabi.

I chociażby ze względu na to musi w Polsce być przyśpieszony okres zdeklarowanych zmian wewnętrznych.

* * *

Zbyt trudna jest nasza sytuacja geopolityczna, byśmy mogli obciążać jej wagę w polityce zagranicznej zaniedbaniami gospodarczymi, brakiem gospodarczej suwerenności, wynikającej z marazmu w wewnętrznej polityce gospodarczej, byśmy mogli obciążać ją w niezmiernie większym stopniu nerwowością i bezmyślnością niewychowanego politycznie społeczeństwa, które przeszkadza prowadzeniu polityki zagranicznej przez stwarzanie linii podziału naszych orientacyj politycznych na podstawie klucza wyznaniowego, rasowego, klasowego, grupowego, kulturalnego i wszczynanie wojen religijnych w kraju na rachunek międzynarodówek lub poszczególnych naszych kontrahentów politycznych.

Trzeba ograniczyć do minimum znaczenie ujemne tych dwuch czynników w polityce zagranicznej i pokusić się o to, by stały się one wielkością dodatnią, nie ujemną w bilansie wpływu naszej sytuacji wewnętrznej na bieg spraw zagranicznych.

Elementy bowiem geopolityczne wynikają z determinacji a tym łatwiej utrzymać w nich czystość linii państwowej, im bardziej są opanowane przez ten sam ośrodek dyspozycji, czyli państwo, — elementy gospodarcze i wychowawcze. Trzeba skrócić front i usunąć ujemną rolę elementów, które państwo może suwerennie uchwycić.

(77).

KRYTYCY

Pomniejszycielami czy naiwnymi można by nazwać większość współczesnych krytyków, gdyby nie świadomość niewspółmierności ich światopoglądów z tym co narasta, co się staje dziś w dziedzinach organizacji zbiorowego życia ludzkiego. Świadomość ta nie pozwala na wyodrębnienie krytyki z dziejów, jako czegoś istniejącego i poza samymi dziejami.

Krytycy tym bardziej nie są uprawnioną instancją dla osądzania światowych zapasów; są oni zaledwie uczestnikami walk, jednym z narzędzi działania, uświadomiania czy korektywy poczynań.

Krytyka, wywodząca się z innych założeń, niż te, które zostały przyjęte na pewnej płaszczyźnie działań w ogóle, może być pominięta bez reszty. Natomiast krytyka współrzędna, wywodząca się z tych samych założeń teoretycznych, co i działalność podlegająca krytyce, może i musi być uznawana i wysłuchana jako czynnik wysoce wartościowy w realizacji zamierzeń.

Nieliczenie się dostateczne z tak pojętą krytyką grozi zwyrodnianiem akcji, maniactwem teoretycznym, i z biegiem czasu prowadzi do zguby lub przegranej w zapasach z inną zasadą, kontrolowaną w przebiegu realizacji, czyli podlegającą krytyce.

Wypowiedzieliśmy truizm o konieczności krytyki, lecz niestety jest to truizm pozorny, gdyż rzadko tylko bywa stosowany w działalności publicznej i publicystycznej. Bo albo przez krytykę pojmuje się byle jaki sprzeciw, z zupełnie innej beczki teoretycznej, a więc naprawdę tylko drażniący i przeszkadzający, a bezwartościowy, albo też jako krytykę współrzędną teoretycznie pojmuje się potakiwania lub sprzeciwy rzędu raczej personalnego, niż metodologicznego, konstrukcyjnego, czy wykonawczego.

Krytyka natomiast wartościowa odnosi się bądź do sposobu wyłożenia podstaw, czy planów działania, bądź do sposobów realizacji przyjętych założeń czy zadań.

Krytyka personalna oczywiście może mieć bardzo wielkie praktyczne znaczenie w życiu publicznym, lecz dopiero wtedy gdy będą spełnione warunki niezbędne dla uczynienia jednostki działającej publicznie odpowiedzialną za jej posunięcia. Dopiero wtedy krytyk, który będzie znał dostatecznie plany i metody działalności państwowej, będzie mógł z korzyścią dla spraw dawać rady czy osądy personalne w sprawach publicznych.

Nawet w sprawach tak osobistych, jak moralność, nie zawsze krytyk jest powołany do wydawania osądu. Bardzo rzadko w publicystyce krytykowane są same zasady moralne, choć od poziomu tych zasad od pogłębiania zasady odpowiedzialności działaczy publicznych zależy wartość realizacji powierzonych im obowiązków.

Niewspółmierność teoretyczna uczyniła w wielu państwach wprost niemożliwą samą działalność parlamentarną, która w pierwszym rzędzie jest nastawiona na krytykę.

Po Wielkiej Wojnie, kiedy sprawy państwowe wymagają szybkiej orientacji i jeszcze szybszej nieraz decyzji, kiedy współzawodnictwo państw doprowadza do konieczności tworzenia nowych a tajnych dróg postępowania, tajnych planów politycznych militarnych i gospodarczych, rola parlamentu jako krytyka działań i założeń władz państwowych jest tak dalece trudna i wymaga takiego przygotowania umysłowego, że system reprezentacji rozmaitych grup społecznych, leżący u podstaw wyborów do parlamentu, nie może już dziś się ostać.

Krytyka poczynań państwowych musi być dziś prowadzona na płaszczyźnie państwowej, a nie grupowo-społecznej. Tutaj właśnie tkwi nieistotność parlamentu, jako rzecznika grup społecznych, a tylko zrzadka współuczestnika i współtwórcy w procesach państwowych.

Dawniejsze ujęcie państwa, jako narzędzia w rękach silniejszej grupy społecznej, lub jako czynnika regulującego spory grup między sobą, skończyło się z chwilą uświadomienia odrębnych a swoistych zagadnień państwowych, podyktowanych czy wynikających z konieczności geopolitycznych. Instytucja parlamentu nie przeżyła się; krytyka jest koniecznością przy realizowaniu tego czy innego planu państwowego,— lecz krytyka typu państwowego, a nie społecznego.

Słusznie podkreślane są niebezpieczeństwa i braki t. zw. totalnego, czy arbitralnego systemu rządzenia, lecz uzdrowienie nie może nastąpić przez restytucję bezwartościowego aparatu, jakim jest dawny system parlamentu, czyli krytyki na poziomie grupowo-społecznym.

(Dokończenie na str. 6-tej)

TYPY WACŁAWÓW STYKÓW-STACHIEWICZÓW...

W Nr. 33 „Jutra Pracy" (w artykule W. Budzyńskiego) znalazł się poniższy ustęp, który z prawdziwą przyjemnością przedrukowujemy:

„Jadę na zjazd Legionistów tymi samymi drogami, którymi szedłem z nimi w 1914 r. Tędy na Suchą, na Mszanę Dolną, na Marcinkowice... W taki sam mglisty poranek przebiegał przed naszym frontem batalionowy Wyrwa-Furgalski, a orkiestra grała ten sam kawałek, który niebawem miał się stać sławnym marszem Pierwszej Brygady. Tutaj ściągnęliśmy zmaltretowani bitwą pod Krzywoplotami, i nabieraliśmy głębszego oddechu. Kiedy zmożony atakiem powrotnej febry brazylijskiej leżałem w gorączce i naprzemian w zimnicy, niezapomniany mój kompanijny, młody Wacław Styk, okrywał mnie prostego szeregowca swoim pięknym oficerskim płaszczem.

Przypomina mi się to nie wiem dlaczego, ale czyż to nie było w charakterze tamtych czasów?... Typy Wacławów Styk-Stachiewiczów, wychowanych na froncie Pierwszej Brygady, należało by dzisiaj przeciwstawić tej grupie, która nie potrafi dystansu pomiędzy nią na górze a masą na dole wypełnić swoim pięknym oficerskim — sercem.

Wszystko miało się z czasem stać. I stało się to, co najważniejsze, — Polska. Prymitywem w niej jest nie tylko nędza. Prymitywem najgorszym jest raczej ten dystans niczym niewypełniony pomiędzy górą a dołem. Taki chyba, jaki istnieje w krajach barbarzyńskich pomiędzy panem kolonizatorem a biednym tubylcem, pomiędzy luksusowym autem a walącą się chałupą. Nie ma pomiędzy nimi serca, albo — powiedzielibyśmy w przenośni — nie ma Pierwszej Brygady".

KONTROLA FORMALNA A KONTROLA CELOWA

W numerze 24(29) „Zaczynu" pojawił się artykuł p. t. „Kontrola Państwowa", poruszający bardzo poważne zagadnienie dużego znaczenia w planowej pracy maszyny państwowej. Autor jednak omówił w nim tylko jedną jego stronę, charakteru raczej powiedziałbym i l o ś c i o w e g o, pominął natomiast drugą jego postać, może nawet istotniejszą, jego stronę j a k o ś c i o w ą.

Tymczasem o ile zagadnienie pierwsze — pomimo wad i usterek słusznie wyłuszczonych przez autora — jeszcze jako tako przedstawia się w Polsce, o tyle drugie budzi bardzo wiele zastrzeżeń, wymaga więc głębszej analizy. Zła kontrola może bowiem w skutkach być znacznie szkodliwszą, niż żadna kontrola.

Celem kontroli jest sprawdzanie pewnego zakresu działalności ludzkiej. Sprawdzanie to może być rozmaite i rozmaity może być jego cel. Jeżeli z pośród wielkiej różnolitości zachodzących tu możliwości, wybierzemy dwie krańcowe, określające amplitudę wszelkich możliwości pośrednich, to będziemy mogli powiedzieć, że kontrola może być albo c e l o w ą, albo f o r m a l n ą.

Kontrolą celową nazywać będę tę, która sprawdza, czy i w jakim stopniu spełnione zostały cele i zadania, postawione danemu odcinkowi działalności ludzkiej. Kontrola formalna bada, czy działalność ta odbyła się w granicach ram i przepisów, normujących tę dziedzinę.

Ażeby jaskrawiej jeszcze uwydatnić różnicę tych dwu diametralnie sprzecznych ujęć kontroli, pozwolę sobie sięgnąć do przykładu dla nas, pokolenia wojennego, najżywiej przemawiającego do wyobraźni, to jest do wojny. Na wojnie kontrola celowa jest rzeczą łatwą. Dowódca, który zwyciężył, niewątpliwie spełnił ciążące na nim zadanie. Jedynie, gdy przegrał, można analizować, ile w tym było jego winy. Kontrola formalna, sprawdzająca, czy dowódca toczył bitwę zgodnie z regulaminem i z otrzymanymi rozkazami, jest w stosunku do zwycięskiego dowódcy — nonsensem. W stosunku do tego, który przegrał, wyjaśnia tylko jedną, ale bynajmniej nie jedyną przyczynę niepowodzenia.

W czasie pokoju jednak tego rodzaju ujęcie jest znacznie trudniejsze, gdyż znacznie bardziej zawodne, znacznie mniej pewne są kryteria, odróżniające zwycięstwo od przegranej. Bardziej za to pewne, solidne, murowane są podstawy kontroli formalnej. Są nimi przepis, regulamin, rozporządzenie, instrukcje i t. p. materiały dostępne i — w teorii przynajmniej — jasne i nie zawierające wątpliwości. Nie dziw więc, że wszelka kontrola bardzo łatwo przeradza się w kontrolę formalną i że taką nieomalże wyłącznie jest kontrola polska. Być może jest ona nią tym bardziej, że prym w niej wodzą prawnicy, a więc ludzie o umysłowości z natury rzeczy skłonnej do formalistycznego traktowania wszelkich zjawisk życia ludzkiego. Taką jest ich umysłowość zwłaszcza w Polsce, gdzie system naszego wykształcenia prawniczego poprostu gwałtem skierowuje ich w tym kierunku.

To formalistyczne traktowanie kontroli jest potężnym czynnikiem, który — wraz z szeregiem innych przyczyn — skierowuje całą naszą działalność urzędową na tory czysto biurokratyczne, „amcenia", tak dobrze znane wszystkim, którzy mieli wątpliwe szczęście być przedmiotem tej działalności.

Dwa mogą być sposoby podejścia do przepisu czy rozporządzenia. Jeden to czysto formalny, ślepej wiary w przepis i mechanicznego stosowania go w życiu. Pozwolę sobie przytoczyć dwa przykłady, jaskrawo świadczące o takim do wyżyn wprost doskonałości wysublimowanym biurokratyzmie. Ze względów zrozumiałych przeistoczę nieco miejsce i rzeczy, nie zmieniając jednak istoty faktów:

Pewien urzędnik służby konsularnej zostaje przeniesiony, dajmy na to, z krajów skandynawskich do, powiedzmy, Ameryki Południowej. W myśl przepisów należy mu się bezpłatny i bezcłowy przewóz urządzenia domowego z obecnego miejsca zamieszkania do Ameryki Południowej, a stamtąd — jeżeli zostanie z powrotem powołany do Warszawy — do kraju. Konsulat ów w Ameryce Południowej ma jednak pełne urządzenie domowe, wobec czego nasz urzędnik zwraca się z prośbą do swoich władz przełożonych o pozwolenie na bezpłatny i bezcłowy przewóz swoich mebli do kraju, wykazując, że w ten sposób skarb państwa zaoszczędzi duże sumy, gdyż niewątpliwie droga z Europy Północnej do Warszawy, poprzez Amerykę Południową jest znacznie droższa, niż droga bezpośrednia. Podanie to krąży długie miesiące po Ministerstwie Skarbu, wszyscy przyznają petentowi rację, ostatecznie jednak przychodzi załatwienie odmowne, gdyż... brak odpowiedniego przepisu.

A oto przykład drugi. Przed wielu laty pewna jednostka wojskowa otrzymała polecenie zorganizowania ćwiczenia pokazowego dla pewnej misji zagranicznej. Czasu było bardzo mało, to też część sprzętu nadeszła do tej jednostki dopiero rankiem dnia, w którym w godzinach popołudniowych miał się odbyć pokaz.

Oficer przeprowadzający ćwiczenia chciałby wykorzystać jeszcze pozostających mu kilka godzin i przećwiczyć obsługę świeżo nadeszłym sprzętem. Poprostu pali mu się pod nogami. Wzywa więc na gwałt oficera materiałowego jednostki dla możliwie rychłego dokonania odbioru sprzętu. Ten ostatni przybywa natychmiast na miejsce i wyjaśnia kierownikowi ćwiczeń, że nakazane przepisami czynności formalne odbioru są tak drobiazgowe i tak liczne, iż przy najlepszej chęci będzie mógł najwcześniej dopiero nazajutrz rano dać mu sprzęt do dyspozycji. Zniecierpliwiony kierownik ćwiczenia, który przecież tegoż dnia po południu ma sprzętem tym operować na pokazie, żachnął się. „Widzi Pan przecież, Panie Kapitanie, że w danym wypadku dobro służby wymaga odstąpienia od przepisu". — „Przepraszam bardzo Pana Majora — odpowiada urażony w swej godności oficer materiałowy — znam przepisy bardzo gruntownie, umiem je nieomal na pamięć, ale słów „dobro służby", ani razu w nich nie spotkałem".

Zaznaczam, że nie jest to anegdota, ale fakt autentyczny.

Oto podejście formalne do przepisu, szeroko u nas niestety rozpowszechnione.

Jest i podejście drugie. Przykład jego dał gen. Langner, zeznając jako świadek w głośnym niedawno procesie. Na zapytanie mianowicie, dlaczego w pewnej sprawie wydał decyzję sprzeczną z istniejącymi przepisami, odpowiedział: „Przepisy są po to, ażeby mądrzy ludzie mądrze je wykonywali".

Tak, ale taką odpowiedź dać może tylko człowiek o odwadze i autorytecie gen. Langnera.

Wyobraźmy sobie bowiem, że w ten sam sposób postępuje ktoś o autorytecie mniejszym, niż gen. Langner. Niech będzie nim dla przykładu dowódca jednostki, która organizowała owe wyżej wspomniane ćwiczenia dla misji zagranicznej. Jeżeli wydał on rozkaz przyjęcia danego sprzętu bez wszelkich szykan przepisu, to niewątpliwie w czasie kontroli będzie musiał dokładnie odpowiedzieć, dlaczego to uczynił, po co, na jakiej zasadzie. Odpowiedź na takie pytanie nie jest łatwa, zwłaszcza jeżeli kontroler ma w sobie coś z prokuratora i wszędzie węszy nadużycie. Jeżeli więc nasz dowódca był człowiekiem ostrożnym, obeznanym ze sposobem pracy kontroli, to niewątpliwie spisał natychmiast protokół z tego wypad-

---

(Dokończenie ze str. 5-ej)

Stworzenie nowych podstaw myślowych, metodologicznych i światopoglądowych dla działalności państwowej pozwoli dopiero na uruchomienie takiej instytucji, takiego parlamentu, który będzie mógł grać rolę krytyka, równorzędnego i również odpowiedzialnego za sprawy państwowe. Skończą się wtedy nie tylko małpie grymasy nieuków publicystów, skończą się rozmaite bzdurne hasła czy naciski grup społecznych, próbujących zastąpić sprawy państwowe rozmaitymi interesami swych grup, skończą się bzdurne mowy parlamentarne, oparte o rozgrywki personalne, mafijne czy adwokacko-interwencyjne.

W Polsce, niestety, całe wychowanie publiczne jest nadal prowadzone bez kierunku państwowego, przez mniej lub więcej „autonomiczne" grupy jakże dalekie od liczenia się z koniecznościami państwowymi.

I tutaj nie do krytyki tych czy innych poczynań, czy też profesorów winno się nawoływać; należy radykalnie skończyć z tą maskaradą państwową, jaka się odbywa dziś na terenach szkolnictwa i wychowania państwowego.

Tylko twarde, nieustępliwe a konsekwentne wprowadzenie od dołu do góry zasady bezwzględnego i całkowitego podporządkowania wychowania — myśli państwowej i kierownictwu państwowemu, pozwoli na wytworzenie w Polsce zarówno mężów stanu, planistów, organizatorów i wykonawców, jak i krytyki na poziomie państwowym zdolnej do wskazań i regulowania działalności państwowej.

A wtedy skończy się to tragikomiczne widowisko, na miarę typów Wiecha, jakie widzimy w całej publicystyce politycznej, w poczynaniach publicznych, w karykaturalnej odmianie mężów stanu, którzy niczym nie kierują, a więc za nic właśnie nie są odpowiedzialni, a o których mówi się tyle i krytykuje, jakby naprawdę z tego miało wyniknąć coś wartościowego dla państwa. To nie krytyka, a tylko, łącznie z krytykowanym obiektem, zbyt długa a kosztowna maskarada polityczna, na którą nie mogłyby sobie pozwolić Anglia i Francja, a cóż dopiero nasza biedna Polska.

(11).

PREZENT

P. gen. Górecki podczas ostatniego pobytu w Niemczech otrzymał w prezencie domek, w którym był więziony komendant w Magdeburgu. Wzruszający gest — nie ulega wątpliwości. Więc cóż. Przyjąć ten prezent, podziękować.

Może zorganizować w nim jakiś kącik pamiątek po Marszałku, bibliotekę, czytelnię, wreszcie szkołę i uczynić zeń miejsce wędrówek naszej licznej rzeczy emigranckiej w Niemczech, miejsce rozmyślań i szlachetnego kultu Józefa Piłsudskiego. I to tym bardziej, że takich ośrodków nasza Polonia w Niemczech nie ma pod dostatkiem.

Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu dowiadujemy się z wywiadu, udzielonego przez p. gen. Góreckiego „Expressowi Porannemu" (13 b. m.), że domek ten ma być ...przewieziony do kraju!

ku, starając się go opatrzyć w możliwie jak największą liczbę podpisów. Za tą papierową tarczą może on spokojnie oczekiwać kontroli, choć nie uchroni go ona bynajmniej od dochodzeń i zjadliwych dociekań. Wiadomo bowiem zawsze, że groza sytuacji, wymagającej natychmiastowego rozstrzygnięcia, blaknie mocno w miarę, jak papier żółknieje. Wiadomo również, że po tym znajduje zawsze tysiąc dowcipnych rozwiązań, typowych esprit d'escalier, których zaniechania niewątpliwie kontrola nie zapomni wytknąć, choć w chwili, kiedy trzeba powziąć decyzję, napewno nie ma na nie czasu.

Jeżeli więc nasz dowódca był człowiekiem „roztropnym" i miłującym spokój, to niewątpliwie nie zadowolił się protokółem, lecz mocno uzasadniającym pismem prosił władzę wyższą o zatwierdzenie jego decyzji. Takiej tarczy napewno kontrola już nie ugryzie! I oto geneza owych „paraf ministerialnych" na najgłupszym nieomal akcie, jeżeli ten choć o włos wykracza przeciwko przepisowi.

Jeżeli jednak nasz dowódca był dowódcą w pełnym tego słowa znaczeniu, a więc człowiekiem z charakterem i nie chciał się kryć, ani za papierowy protokół, ani tym bardziej za plecy swych przełożonych, to bardzo mi go żal. Napewno przez długie lata opędzał się wszelkim zarzutom kontroli i kto wie, czy nawet nie przypisano mu tego i owego do zwrotu. W oczach kontroli bowiem, najbardziej wzorowa gospodarka, najbardziej w oczy bijąca zapobiegliwość nie są wystarczającym argumentem dla usprawiedliwienia chociażby jednej nieformalności, nawet jeżeli jest ona życiowo jak najbardziej uzasadnioną.

Jak drobiazgową i przyczepiającą się do najmniejszych szczegółów może być kontrola, świadczą poniższe przykłady, znów całkowicie autentyczne:

W pewnym warsztacie państwowym kierownik jednego z działów wprowadził pewne udoskonalenia, dzięki którym praca w jego dziale stała się znacznie ekonomiczniejszą. Przyszła kontrola i — myślicie iż może pochwaliła tego kierownika? Broń Boże! postawiła mu zarzut, że ulepszenia tego nie dokonał trzy lat temu, z chwilą obejmowania swego działu! Przypuszczam, że dany kierownik był już na całe życie wyleczony z chęci wprowadzania ulepszeń.

W pewnej instytucji, operującej budżetem kilku milionów złotych, wytknęła kontrola, że w jednym z rachunków, opiewającym na kilkadziesiąt tysięcy złotych, pomylił się buchalter przy przepisywaniu w księdze pomocniczej o 2 gr. — dosłownie dwa grosze.

W innej instytucji państwowej w czasie kontroli magazynu materiałów pędnych, pobierający właśnie w tej chwili bańkę z 5-ma litrami oleju szofer, otrzymał polecenie natychmiastowego udania się do samochodu, gdyż szef jego został pilnie wezwany do swej władzy przełożonej, hierarchicznie zresztą bardzo wysokiej. W pośpiechu szofer zabrał olej ze sobą i nie zdążył podpisać kwitu. Działo się to wszystko na oczach kontrolera, który pomimo to w orzeczeniu swoim napisał „w magazynie brak pokwitowania na 5 litrów oleju".

Chyba jeszcze nikomu w Polsce nie zdarzyło się otrzymać orzeczenia kontroli, że wszystko u niego jest w porządku. Ja przynajmniej o takim białym kruku jeszcze nie słyszałem.

Nastawienie kontroli przypomina mi jednego z moich dowódców z czasów wojny, znanego z tego, że nikogo jeszcze nigdy nie pochwalił.

Otóż razu pewnego, gdy odbywszy ranny ceremoniał raportu mojej kompanii, siadłem na konia ażeby udać się w kierunku placu ćwiczeń, spotkałem się oko w oko z nadjeżdżającym znienacka dowódcą. Koń mój był dość żywy, a ja podówczas jeździłem konno nie tęgo, to też nie zdołałem zatrzymać konia przed dowódcą, lecz minąłem go, zawróciłem i dopiero wtedy się zameldowałem. Bez słowa z jego strony rozpoczęła się inspekcja. Po kilku godzinach, w czasie których zlustrował on ćwiczenia, kwatery, kuchnie i wszystkie inne możliwe i niemożliwe miejsca, nie znajdując widocznie żadnej podstawy do zarzutu, rzucił on mi na pożegnanie cierpkim głosem tylko jedno zdanie „Dowódca kompanii powinien umieć zatrzymać konia przed swym przełożonym".

Bardzo często, czytając orzeczenia kontroli, widzę tam tylko tego konia! (1313)

(d. c. n.)

PO TAMTEJ STRONIE

Pojednawcza na początku polityka pierwszej ukraińskiej reprezentacji parlamentarnej w Polsce nie znalazła odpowiedniego gruntu ani atmosfery w rozwydrzonym sejmowładztwie polskim. Chieno-Piast mógł tylko odtrącić wszelakie oferty ukraińskie, zupełnie nie orientując się w sytuacji wewnętrzno-ukraińskiej, oraz zasadniczo negując jakikolwiek udział Ukraińców w życiu Państwa. Drastycznym przykładem tego jest atmosfera, w jakiej się zrodziła zbrodnia morderstwa pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza. Został on zabity za to, że przyjął w wyborze głosy oddane przez posłów mniejszości narodowych. W pośród tych głosów za wyborem G. Narutowicza **były głosy wszystkich bez wyjątku pierwszych posłów i senatorów ukraińskich z Wołynia, Chełmszczyzny, Podlasia i Polesia.**

W stosunkach i stosuneczkach, jakie następnie zapanowały w Sejmie z wyboru 1922 r., jak również przy coraz silniejszym dążeniu ukraińsko-halickiego centrum politycznego do kierowania ukraińską reprezentacją Wołynia, a wreszcie dzięki stopniowemu przenikaniu na teren Wołynia i samej ukr. reprezentacji parlamentarnej ajentury sowieckiej, pierwotna linia pierwszej parlamentarnej reprezentacji ukraińskiej w Sejmie utrzymać się nie mogła i w końcu, po ustąpieniu z prezesury Wasyńczuka, stopniowo rozbiła się i zeszła na manowce zupełnej bezpłodnej negacji.

Zjednoczenie Ukraińców b. zaboru rosyjskiego, dokonane przy wyborach 1922 r. dało duże korzyści. Ruchliwość posłów i entuzjazm mas pozwolił w szybkim stosunkowo tempie założyć na każdym polu życia zbiorowego fundamenty twórczo-organizacyjne. W każdym mieście powiatowym Wołynia powstały „Proswity", a po wsiach liczne czytelnie. Na Chełmszczyźnie taka sama organizacja oświatowa szybko się rozrastała pod mianem „Ridnej Chaty". Po ustaleniu waluty polskiej zaczęła się energiczna organizacja spółdzielni zarówno spożywczych, jak i kredytowych. Założona została i prędko rozwijać się zaczęła praca regionalna, zarówno w Łucku, jak i Chełmie. Endeckie metody rządzenia i endecka mentalność większości aparatu urzędniczego tylko sprzyjały bujnemu rozwoju życia ukraińskiego na terenie b. zaboru rosyjskiego. Lecz jednocześnie ze wzrostem tego życia, przędko też zakradła się doń choroba w postaci zwiększonej działalności Sowietów na kresach oraz mącenia lwowskiego centrum narodowego na górze rządzących ukraińskich czynników wołyńskich.

Sowiety świetnie oceniły wartość zorganizowanego czynnika ukraińskiego na Wołyniu. Poprzez ten czynnik zapragnęły bruździć w Polsce, jak również, wyzyskując dążenia unifikacji nar. przywódców wołyńskich, pragnęli po przez te czynniki wzmocnić a raczej zdobyć podówczas trudno przystępne dla nich pozycje w d. Galicji Wschodniej, odporniejszej na agitację komunistyczną. Rychło też w łonie słabo wyrobionej reprezentacji parlamentarnej Sowiety znalazły gorliwych wyznawców. Już w 1925 roku odbywa się w Łucku konferencja USDP, której posłowie całkowicie ulegają wpływom sowieckim, a w 1926 roku 4 posłów ukraińskich otwarcie przechodzi do Komunistycznej Frakcji poselskiej. Potem następuje okres przybudówki komunistycznej — Selrobu, który zalewa teren b. zaboru rosyjskiego, przekracza „kordon sokalski"; mocno usadawia również wpływy selrobowskie w Małopolsce Wschodniej.

Ukraińskie czynniki narodowe Wołynia nie mają sił oprzeć się ajenturze sowieckiej. Ukraiński Lwów narodowy nie przychodzi im w sukurs, bo sam zaczyna być trawiony chorobą sowietofilską. Ponadto, do zagadnienia unifikacji narodowych sił ukraińskich obu dzielnic podchodzi li tylko z punktu widzenia wąskich interesów partyjnych. Regionalne polityczne ośrodki narodowe wołyńskie w oczach ówczesnego Lwowa ukr.-narodowego stały jakby na przeszkodzie do ich własnej organizacyjno-partyjnej ekspansji na kresy wschodnie.

W ten sposób, parlamentarne wybory 1928 r. zastają Wołyń ukraiński w zupełnym rozbiciu partyjno-politycznym o wyraźnej już przewadze dynamicznej selrobo-komuny. W tej też sytuacji powołony do życia BBWR po raz pierwszy w historii Polski odrodzonej usiłował nawiązać stosunki z Ukraińcami wychodząc z płaszczyzny równości praw i obowiązków obywateli różnojęzycznych. Obok więc ukraińskich kandydatur t. zw. „niezależnych" t. j. stawianych przez różne konkurujące grupy ukraińskie, przy wyborach parlamentarnych 1928 roku, ukazały się w okręgach wołyńskich kandydatury Ukraińców na liście znanej jedynki. Oto jest geneza późniejszego, bo dopiero w 1931 roku powołanego do życia stronnictwa W. U. O., na czele którego stanęli posłowie BBWR Wołynia, należący do narodowości ukraińskiej.

Ukraińscy posłowie „Jedynki" 1928 r. nie pochodzili z aborygenów wołyńskich. Składali się oni z emigrantów politycznych z Ukrainy sowieckiej, w Polsce znaleźli schronienie, tutaj też nadano im obywatelstwo polskie. Do polityki ukraińskiej na Wołyniu wnieśli ci posłowie elementy zupełnie nowe: uległość i podporządkowanie się nakazom z góry, wydawanym przez ośrodek dyspozycji politycznej, jakim był niewątpliwie BBWR. Rok 1928 był rokiem próby w tym kierunku, a przy wyborach 1935 r. zasadę takiego przedstawicielstwa ukraińskiego z Wołynia przeprowadzono z całą konsekwencją. Podczas gdy na terenie 3 województw połudn.-wschodnich zawierano wówczas „kompromis wyborczy" z najsilniejszą partią UNDO, która w ciągu szeregu lat prowadziła politykę aż w końcu w negacji swej zachwiała się na terenie b. zaboru rosyjskiego, do wyborów powołano gotową już ukraińską sekcję BBWR na Wołyniu z 1928 r., która od 1931 r. zaczęła przybierać postać stronnictwa, współpracującego ręka w rękę z urzędem wojewódzkim. Stąd też wynikło ustosunkowanie się W.U.O. t. zw. ukraińskich czynników niezależnych.

Zachwaszczenie Wołynia selrobo-komuną zmusiło władze administracyjne do ostrych pociągnięć: pozamykano i porozwiązywano organizacje kulturalno-oświatowe występujące pod nazwą „Proswita", czytelnie „Proswit" po wsiach, rozwiązano Sel-rob lewicę, sięgnęło się następnie do ruchu spółdzielczego, aż w 1934 przydzielono spółdzielnie ukraińskie b. zaboru rosyjskiego do polskich związków rewizyjnych, ograniczając działalność Związku Rewizyjnego Spółdzielni Ukraińskich we Lwowie, pod patronatem którego spółdzielnie te działały. W ten sposób wszystko się złożyło na to, że Wołyń jakby przygotowano nanowo do przyjęcia W.U.O. Ukraińska narodowa opinia publiczna, nie bacząc na własne słabostki, niedomagania pracy i brak spoistości, pomimo że wyraźnie stanęła na gruncie antysowieckim, zaczęła skarżyć się na stwarzanie sztucznego cieplarnianego gruntu dla W.U.O. — „grupy emigrantów z nadanymi paszportami polskimi".

W tych okolicznościach powstał głęboki rozdźwięk pomiędzy grupą W.U.O., a resztą społeczeń-

stwa ukraińskiego, szczególnie pomiędzy dwoma ukrańskimi organizacjami parlamentarnymi, przechodząc kolejne etapy okresów wyborczych lat 1928, 1930, a który, jak to skonstatowaliśmy, utrzymał się i w roku 1935 do czasów obecnych.

Nie wchodzimy w analizę zarzutów wysuwanych ze strony ukraińskiej pod adresem W.U.O., stwierdzimy tylko fakt powolnej ewolucji W.U.O. w kierunku ogólnych postulatów ukraińskich. W.U.O. obecne domaga się 1) zwołania Soboru cerkwi prawosławnej i usunięcia przeszkód dla ukrainizacji cerkwi („odmoskwiczenia"), 2) stworzenia odrębnego wołyńskiego związku rewizyjnego dla spółdzielni, 3) uporządkowania sprawy szkolnictwa ukraińskiego, w szczególności podtrzymywania ukr. szkolnictwa prywatnego i umożliwienia jego rozwoju, 4) zatrudnienia inteligencji ukraińskiej w urzędach i samorządzie, 5) subwencyj ze Skarbu Państwa dla ukraińskich organizacyj społecznych („Wołyńskie Słowo" z dn. 29.VII).

Wymieniony organ W.U.O. nadmienia przy tym, że postulaty te to — „nasze terenowe minimum". Zatem, same W.U.O uważa się za organizację ściśle regionalną i istotnie, nie wysuwa się ono nie tylko na teren Małopolski, ale i na sąsiednie Polesie i Chełmszczyznę.

Czy jednak, biorąc pod uwagę genezę W.U.O. i jego taktykę, stronnictwo to uchodzące w przeważającej opinii ukraińskiej za twór czynników polskich i prorządowych, wyzbyte jest ideologii narodowo-ukraińskiej?

Liczne artykuły „Wołyńskiego Słowa" wymownie temu przeczą. Jeszcze jaskrawiej charakteryzuje mentalność przywódców W. U. O. przemówienie posła sejmowego St. Skrzypnyka, wygłoszone w Paryżu nad mogiłą Petlury w dniu 17 czerwca b. r. podczas uroczystości złożenia wieńca laurowego od Wołynia.

„Główny Atamanie Wojska i Floty Państwa Ukraińskiego, Wodzu Narodu i Włodarzu dusz naszych! Z łaski losu i z nakazu zorganizowanego społeczeństwa ukraińskiego Wołynia, staję przed Twoją świętą mogiłą, ażeby złożyć Tobie głęboki hołd od Ziemi Wołyńskiej. Prócz tego melduję posłusznie, że Wołyń, pozostając wiernym Twojemu testamentowi, nieustannie pracuje w kierunku wszechstronnego przysporzenia ogólno-narodowych wartości narodu ukraińskiego. Praca nasza dzisiejsza nie jest lekka, lecz ciężar jej niesiemy hardo, będąc jednocześnie świadomi wielkiej odpowiedzialności, która ciąży na nas wobec następnych pokoleń. Wierzymy, że praca nasza zbliży cały naród do ziszczenia jego ideału najwyższego. Zapewniamy Ciebie, że w decydującą chwilę następujących wydarzeń nie zbraknie ani jednego uczciwego syna narodu ukraińskiego obok sztandaru, który podniesie godny Ciebie następca".

W czasie przemówienia posła Skrzypnyka nad mogiłą wodza ukraińskiego S. Petlury, powiewały ukraińskie sztandary wojskowe, a poczty honorowe kombatantów ukraińskich pełniły straż honorową. Na baczność stali podczas uroczystości: premier ukraińskiego rządu emigracyjnego W. Prokopowicz, przedstawiciel wojska ukraińskiego gen. Udawiczenko oraz szef ukraińskiej misji dyplomatycznej w Paryżu I. Kosenko.

Sprawozdanie o tej uroczystości zamieszcza „Wołyńskie Słowo" (29.VII) a w ukraińskim klubie „Ridna Chata" w Równem odbyło się w tej sprawie specjalne posiedzenie sprawozdawcze.

Podpis tegoż posła St. Skrzypnyka znajduje się na akcie „Ślubowania Wołynia" na rzecz Rzeczypospolitej, złożonym w hołdzie pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Widzimy więc na danym przykładzie d w o i s t o ś ć u c z u ć i d w o i s t o ś ć c e l ó w n a w e t n a j b a r d z i e j u g o d o w y c h U k r a i ń c ó w t. zw. typu wołyńskiego, chowu BBWR.

Daje to okazję naszej krótkowzrocznej endecji do gwałtownych ataków na „politykę wołyńską", politykę rzekomej ukrainizacji Wołynia. Głośny tegoroczny proces łucki stał się wymownym tego dowodem.

Ze strony zaś ukraińskiej i tam, na Wołyniu, spotykamy się z niezadowoleniem z istniejącego stanu rzeczy. Wysuwanie „terenowych" postulatów ukraińsko-wołyńskich świadczy o lokalnych brakach normalizacyjnych, pomimo, że zarówno ton artykułów organu W.U.O. „Wołyńskie Słowo", jak i charakter wystąpień ukr. posłów wołyńskich jest wybitnie spokojny i namaszczony frazeologią z niezapomnianej doby BBWR. Coraz więcej W.U.O. ogląda się na halickie UNDO, coraz częściej też na łamach „Wołyńskiego Słowa" i w prasie lwowskiej czytamy o potrzebie ukraińskiej konsolidacji narodowej i dzielnicowej. (320).

DEBATY A NOŻYCE PRASOWE

W wileńskim „Słowie" jest rubryka pod nazwą „Debaty", która nosi następujące długie a kazuistyczne objaśnienie:

„W tej rubryce zamieszczamy najcelniejsze względnie najciekawsze artykuły i felietony, które wczoraj ukazały się w prasie polskiej. Nie opatrujemy ich w żadne komentarze. Ale to nie znaczy, abyśmy podzielali poglądy w nich wypowiedziane. Owszem będą się tu znajdowały utwory naszych przyjaciół, będą powtarzane zdania, z którymi się zgadzamy. Ale równie często będziemy zamieszczali artykuły przeciwników i przedrukowywali poglądy skrajnie z naszymi poglądami sporne, jeśli będziemy uważać, że z jakichkolwiek względów dany utwór, artykuł czy felieton zasługuje na powtórzenie lub zapamiętanie".

Bardzo dobra rubryka! Cóż, gdy w dn. 13 b.m. wydrukowano w niej artykuł „Kuriera Warszawskiego" p. t. „Kometa Finslera". I to był naprawdę artykuł o komecie!

Czy to był artykuł „sporny", czy „naszych przyjaciół", czy „skrajny", czy o „podzielanych poglądach", czy „najcelniejszy". Ach! Te nożyce prasowe!!

PALCEM PO MAPIE

Gdybyśmy byli narodem prawosławnym i mieli zwyczaj popijania alkoholu „pod ogórek" — to bylibyśmy w tym roku w ciężkim kłopocie, jakoże przysłowiowe „ogórki" najwyraźniej nie obrodziły.

Plon wydarzeń ubiegłego tygodnia, w którym pozornie „nic się nie działo", jest mimo to wcale obfity.

A więc bardzo ładnie wypadła próba obrony Sycylii przed desantem (chyba angielskim?) w obecności króla i cesarza Wiktora-Emanuela III i przy akompaniamencie jednej z najwspanialszych mów Il Duce.

Słowa, iż „narody, które nie umiały nosić broni własnej, zmuszane były do noszenia broni cudzej, zaś narody, pozbawione waleczności miały do wyboru albo nędzę, albo niewolę" — należy uznać za jedno z najwspanialszych sformułowań pozytywnego militaryzmu.

Słowa te są bardzo aktualne, jeśli się zważy, że „góra" międzynarodowego skautingu patrzała krzywym okiem na harcerzy polskich na ostatnim „jamboree" w Holandii za to, że defilują żołnierskim krokiem i nie mają bałaganu w obozie, zaś nasi znakomici kawiarniani pacyfiści nie zdają sobie sprawy, że mogą sobie spokojnie pyskować przy małej czarnej na „militaryzm" i „zanik humanitaryzmu" tylko dla tego, że świetne wojsko zapewnia im między innymi również i tę możliwość. Zaś gdybyśmy tak owych pięknoduchów przez pięć minut posłuchali — to, kto wie, może przyszłoby im nosić cudzą broń... Na szczęście takich „pacyfistów" nie mamy zbyt wielu.

Powracając do Włoch — należy zauważyć, że pomimo antyangielskiego „założenia" manewrów sycylijskich — poprawa stosunków pomiędzy Londynem a Rzymem bynajmniej na tym nie ucierpiała, zaś przewlekły i bodajże przedśmiertny kryzys komitetu nieinterwencji wcale jakoś nie wpływa na zaostrzenie sytuacji europejskiej w związku z Hiszpanią. Sprawy te winny ulec dalszemu odprężeniu, ponieważ, jak słychać, mocarstwa nie chcą ponosić kosztów t. zw. „nieinterwencji", a aparat ten jest wcale kosztowny. Faktem jest, że kolejne raty nie zostały wpłacone, zresztą z wyjątkiem mniejszych państw, które przypadające na nie 20 procent wydatków sumiennie pokryły.

Należy tedy przypuszczać, że oczekiwane gdzieś za dwa tygodnie posiedzenie komitetu londyńskiego — będzie jego posiedzeniem ostatnim bez żadnej szkody dla sprawy pokoju europejskiego.

Narazie gen. Franco pomalutku, ale całkiem pomyślnie sobie wojuje, podczas gdy po stronie „czerwonej" trwają zażarte walki wewnętrzne pomiędzy tamtejszym socjal-komunistycznym „ozonem", a trockistowsko - anarchistycznym „folksfrontem". Okazuje się, że wyklinany „podział na prawicę i lewicę" istnieje nawet wówczas, gdy na widowni politycznej pozostaje sama „lewica". Stanowczo nie warto rozpoczynać wojny domowej, aby dojść do takiego wniosku...

To samo zjawisko, w nieco bardziej uproszczonej formie można od roku 1929 obserwować w Sowietach, gdzie znów po parodniowej przerwie nastąpiła kolejna „rekonstrukcja gabinetu", której ofiarą padł długoletni komisarz finansów Hryńko i krótkotrwały komisarz łączności (poczt i telegrafów) a b. inspektor wojsk pancernych Chalepski.

Natomiast pogłoski o „ucieczce" kom. Litwinowa zagranicę są zgoła bzdurne. Każdy szanujący się Izraelita w tym wieku i na tym stanowisku musi się leczyć w Karlsbadzie lub Marienbadzie, co nie powinno wzbudzać żadnej sensacji. Rzecz inna, że wicekomisarz Potiomkin może z czasem „wykończyć" Litwinowa, tak samo jak Litwinow „wykończył" ongiś Cziczerina.

Dyplomacja jest bowiem zawodem bardzo śliskim i niebezpiecznym i właściwie trudno jest zrozumieć, dlaczego aż tylu młodych ludzi o tego rodzaju karierze śni i marzy. Jedyne wytłumaczenie tego dziwnego objawu możnaby znaleźć w następującej „prawosławnej" anegdocie z życia sławnej carskiej armii: dziarski feldfebel melduje dowódcy kompanii, że zamierza się ożenić, przy czym wymienia nazwisko osoby, o której nawet pan kapitan wie, iż nie odmawia ona swych łask żołnierzom powierzonego mu pododdziału. To też kapitan nie mógł ukryć zdumienia i sądząc, że feldfebel nic nie wie o obyczajach swej wybranki — delikatnie daje mu to do zrozumienia. „Wiem o wszystkim — służbiście zameldował dziarski wojak — cała kompania była i chłopcy nie mogli się nachwalić"!

Przypuszczalnie z tych samych względów — amatorów dyplomatycznej kariery nigdy nie zabraknie — nawet w Sowietach... (66).

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**
Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.
Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**
Godziny przyjęć redakcji: 17 — 18 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 9 — 17.
Cennik ogłoszeń: za tekstem $^1/_1$ — 300 zł., $^1/_2$ — 160 zł., $^1/_4$ — 85 zł., $^1/_8$ — 45 zł., $^1/_{16}$ — 25 zł. Za wiersz milimetrowy — 70 gr. Układ tabelaryczny 50% drożej.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10